

Na początku był sen

Z Joanną Matysek, z rodu Kossaków, rozmawia Arkadiusz Szaraniec

- Jakiego konia najpierw widziałaś w swoim życiu, prawdziwego czy namalowanego?

- Jasne, że namalowanego!

- A czyją ręką?

- Dziadków. W domu - Kossakówce było pełno ich prac na ścianach.

- Który z tych obrazów najbardziej Ci utkwił w pamięci?

- Ten, którego od początku, jako małe dziecko, śmiertelnie się bałam. Rewelacyjny obraz Jerzego Kossaka, w rodzinie nazywany „Lenora” - ilustracja do ballady Mickiewicza „Lilie”. Przedstawiał rozkładającego się konia, z odpadającymi płatkami skóry, z rozdętymi czerwonymi chrapami, w skoku przez cmentarny mur. Na tym koniu siedzi jeździec zakuty w pełną zbroję, ale przez uchyloną przyłbicę widać jego twarz - trupia czaszkę, a w ramionach trzyma nagą kobietę. Według rodzinnej tradycji to sama babcia, Elżbieta Kossak (a to była przepiękna kobieta) pozowała do tego obrazu. Omijałam szerokim łukiem to pomieszczenie, w którym wisiał, ale nie za bardzo mogłam, bo w pewnym momencie przeznaczono je na pokój dziecięcy i nikt nie pomyślał, aby zdjąć ze ściany to piękne a straszne malowidło...

- ... bo dorośli, przyzwyczajeni do widoku, po prostu już go nie zauważali.

- Ale pomimo strachu zawsze marzyłam o koniach. Najpierw

skie ogiery ze stadniny w Klikowej. Ten ośrodek miał w tym okresie sporo sukcesów, tam bój po raz [pierwszy w Europie] wyhodowano pierwszego żrebaka w wyniku transplantacji zarodka - klacz „Mrozonkę”.

- Czy pamiętasz pierwszego konia, na którego wsiadłaś?

To nie odbyło się tak zwyczajnie. Ta placówka naukowa była pilnie strzeżona i otoczona wysokim parkanem. Wdrapałam się jakoś na jego szczyt i zaczęłam krzyczeć do grupki ludzi w białych fartuchach. (Potem się dowie-



sobie wyobrażałam, a potem często śniłam, że jeżdżę na takich koniach, które podziwiałam na obrazach. Oglądałam także westerny i wszystkie „końskie” filmy, które do tej pory bardzo lubię. Kiedy więc pierwszy raz zdecydowałam, że zacznę jeździć konno...

- Ile wtedy miałaś lat?

- Dwanaście. Marzyłam o tym od dawna, ale dopiero w tym wieku mogłam sama jeździć autobusami. Trafiłam wtedy do stadniny w Przegorzałach pod Krakowem. Było tam stadko koników polskich, także kilka koni gidran, angloarabów oraz piękne arab-

działam, że to byli profesorowie Kosiniak, Tischner i sam Bielański z asystentami). I krzyczałam ile sił: - Pa - no - wie - ja tu chcę jeździć na kooo-niach!... Zignorowali mnie kompletnie, ale ja nie rezygnowałam. W końcu kierownik stajni, Adam Warchał, sięgnął mnie z parkanu ale już na swoją stronę i zapytał:

- A czy ty, dziecko, już kiedykolwiek jeździłaś konno?...

Ponieważ w snach byłam bardzo dobrym jeźdźcą i wielokrotnie wyobrażałam to sobie w najdrobniejszych szczegółach, odparłam, że oczywiście tak. Wtedy on wyprowadził pięknego konia - to był ogier Prut, klasyczny gidran, ulu-

bieniec profesora Bielańskiego – osiodłał go i poprosił, abym pokazała co potrafię. Pokazałam więc co potrafię i wtedy pan Adam rzekł - Wiesz, dziecko, to może ty zaczniesz od sprzątania stajni...

I po dwóch miesiącach, pan Adam, który myślał, że mnie ten sposób zniechęci, wreszcie się poddał i pozwolił mi wsiąść na konia.

- Jakiego?

- To był jeden z koników polskich. A po dwóch latach już towarzyszyłam - a to był duży zaszczyt - w przejażdżkach samemu profesorowi Bielańskiemu.

- I to był już awans na prawdziwego jeźdźcę?

- Tak, to był awans po którym już sama mogłam brać wierzchowca. Największe marzenie mojego życia ziściło się, spełnił ten sen z dzieciństwa.

- A co było dalej?

- W Przegorzalach było wielu świetnych instruktorów. Miałam od kogo się uczyć, po dwóch-trzech latach opanowałam nawet pewne elementy dżygiki. I kiedy już mi się zdawało, tak jak wtedy, kiedy wdrapywałam się na płot, że naprawdę umiem jeździć konno, trafiłam do stada ogierów w Klikowej. I tam znowu padło owo pytanie: „- A jak ty, dziecko, jeździsz?” - Znakomicie!

„odparłam: „- No to dajcie jej Czambuła”. I to był koń, którego nigdy w życiu nie zapomnę. Mój pierwszy w życiu naprawdę duży koń - rosły, bardzo piękny, klasyczny „małopolak”. Czułam się na nim jak na kamiennicy. Moja pierwsza jazda w Klikowej zakończyła się katastrofą. Znowu musiałam zaczynać wszystko od początku. W okresie trzech lat zaliczyłam kilkaset upadków. Sztuka polegała na tym, aby nie utrzymywać się za wszelką cenę w siodle, tylko aby umieć spadać. Potem postanowiłam nie podda-

wać się tak łatwo i... połamalam miednicę.

- Ten wypadek nie wybił Ci koni z głowy?

- To już wtedy nie wchodziło w rachubę. Postanowiłam zrobić karierę sportową. Przyszłam do krakowskiego klubu jazdy konnej. „- A co potrafisz?” usłyszałam po raz kolejny w życiu. Trafił mi się świetny koń ujeżdżeniowy. Wsiadłam... i okazało się, że nie jestem w stanie go ruszyć z miejsca, nawet stępa! I to był kolejny (który już?) straszny wstyd, bolesne uderzenie zadartego nosa.

- A „kariera sportowa”?

- Nie obyło się bez takich epizodów, jak ten, kiedy to sędziowie musieli zmykać przede mną, ale zabierając stolik wraz z papierami, chociaż nie wjechałam poza szranki. Nie uważałam się wtedy za mistrza, ale znowu miałam podczas zawodów pewne zdarzenie, które nauczyło mnie moreasu. Wygrałam na loterii jazdę na małym, srokatym huculku o po-

etyckim imieniu Homer. To była jazda w kółko, ale nie dałam się odprowadzić tak jak wszyscy. Ja?... W stroju zdradzającym, że jestem zawodnikiem wsiadłam... i już leżałam! Ten konik na oczach wszystkich zrzucił mnie TRZY RAZY! Do dziś nie wiem, jak on to robił.

- Ale kiedy przejeżdżałaś na koniu tuż koło żubra w Puszczy Białowieskiej, to się utrzymałaś w siodle?

- Bo koń go wcale nie zauważył. To trudno zrozumieć, ale latem żubr w lesie, gdy stoi nieruchomo jest praktycznie niewidzialny. Tylko z konia, którego zapach jest tak mocny, że zagłusza woń człowieka, można podejść blisko zwierzyne...

- Ale skąd się wziął ten koń?

- To dobra przypowieść dla wszystkich, którzy mają marzenia. Spełniają się. Nawet te najbardziej nieprawdopodobne, trzeba tylko chcieć...

- Jak się spełniło to marzenie: Ty, koń, Puszcza...



- Zostałam Kraków, przyjechałam do Białowieży na stałe. Nie miałam żadnych pieniędzy, ale wciąż marzyłam o własnym koniu. Nawet rozpuściłam wieści, że „nieodpłatnie konia chętnie wezmę w dobre ręce”, ale jakoś nikt się nie zgłaszał. A wcześniej znalazłam z krakowskiej AKJ pięknego gniadego wałacha, który zwał się Ben Hur II. Byłam jego

genialnym koniem na Puszczę Białowieską. On miał trochę złą sławę wśród zawodników, ponieważ był mistrzem w uciekaniu, ale - uwaga! - tylko na wyjazdowych zawodach. Wykorzystywał najmniejszą chwilę nieuwagi, potrafił wypiąć się sam z uwiązania i zniknął dokładnie na tyle dni, ile trwały zawody. Mnie również od czasu do czasu uciekał. I co cie-

dyś w zimie naprowadził mnie sam na chmarę siedemnastu jeleni - dorodnych byków.

Kiedy Krzysiek Sarapata powrócił musiałam się rozstać z Ben Hurem. Ale nastały inne konie, też trzymane w takim przyjacielskim pensjonacie.

- A co się z nim teraz dzieje?

- Niestety, galopuje już po wiecznie zielonych pastwiskach.

- Mówiłaś o obrazie, którego się balałaś. Czy jest jakiś obraz, albo inne dzieło sztuki, które według Ciebie szczególnie wiernie i pięknie portretuje konie? Sama też malujesz konie, kto jest dla Ciebie wzorem?

- Uwielbiam malarstwo Kossaków, nie tylko ze względu na patriotyzm rodzinny, lecz także na jego wielką różnorodność. Ale jest jeden obraz, który wywarł na mnie szczególne wrażenie - również pędzla Jerzego Kossaka. Ten jest namalowany na wachlarzu, a przedstawia tor kolejowy - nadjeżdżający potężny, buchający kłębam dymu parowóz, tuż przy szlabanie, a nad nim, w pełnym ewale, w różnych stadiach skoku pędzi cała kawalkada koni, ludzi i psów. Szaleństwo, które za chwilę musi się skończyć masakrą.

- Czy to ten gen Kossaków, a może praktyczna znajomość budowy i ruchu konia, czy też oglądane liczne zdjęcia i „żywe obrazy”, czyli filmy - co ma największy wpływ na Twoją rękę i wyobraźnię?

- Nie wiem, chyba wszystko naraz. W tym momencie wokół domu biegają dwa konie, ale oczami wyobraźni najchętniej oglądam araby i konie andaluzyjskie, na których nigdy nie jeździłam. Ale jak się już okazało - marzenia się spełniają!

Dziękuję za rozmowę



Malowała Joanna Matyszek

luzakiem, mogłam mu czyścić kopyta i sprzątać boks, siedziałam na nim zaledwie kilka razy. I właśnie w swoich snach widziałam siebie na Ben Hurze, jak na białowieskiej polanie w porannym słońcu robimy ciąg w lewo, potem ciąg w prawo... Minęło kilka miesięcy i kiedy prawie się poddałam, zadzwonił Krzysztof Sarapata, obecny hodowca koni, a ówczesny właściciel Ben Hura. Dostał kontrakt do Emiratów Arabskich i szukał azylu dla swego konia na półtora roku. I w ten sposób trafił do mnie ten wymarzony koń i na wyśniewanej łące robiłam ciąg w lewo, potem ciąg w prawo... Ben Hur okazał się

kawę, każdy zwyczajny koń wraca do stajni najkrótszą drogą, ale Ben Hur, który - jak to widziałam wyraźnie po jego śladach - robił sobie prawdziwe wycieczki. I trzeba przyznać, że wybierał sobie, a często odkrywał (!) bardzo piękne miejsca i trasy. Ten zamiłowany włóczykij miał świetną orientację w terenie. Miał prawdziwą żyłkę myśliwską, genialnie natychmiast wyczuwał i wystawiał wszelką zwierzynę. Zatrzymywał się i nasłuchiwał, ja mu rzuciłam wtedy luźno wodze, a on poruszał się tylko w tym momencie, kiedy samo zwierzę było w ruchu. Tropił znakomicie, kie-